Nr 5. Kraków, 4 Lutego 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya i Redakcya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,
oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Od Redakcyi.

Uprasza *Krakus* wszystkich swoich Czytelników, ażeby mu donosili, co się gdzie dzieje, co gdzie komu dolega, coby gdzie zrobić dobrego należało albo też jak gdzie co od złego uchronić. Na wszystko będzie *Krakus* zaraz odpowiadał i rady dawał. Na końcu każdego numeru *Krakusa* znajdą się te odpowiedzi i rady pod tytułem: *Odpowiedzi od Redakcyi.* Coby się publicznie nie dało powiedzieć, załatwi się listownie.

Prosimy pamiętać o *Konkursie,* któryśmy ogłosili w Nrze 2 *Krakusa* z dnia 14 Stycznia tego roku. Niektórzy już nadesłali powiastki, ale jeszcze niewiele, a książek do rozdania mamy więcej.

Jak Rusini do Moskala smutnie wędrowali, a niewesoło powrócili?

(Dokończenie).

Kiedy tak sumienie wołać zaczęło i spać nie dało, każdy, co miał jeszcze choćby iskierkę Boga w sercu, chwycił, co miał pod ręką jeszcze, co mu jeszcze zostało i tej samej nocy uciekł napowrót do swojego kraju.

Popici popi schyzmatyccy długo spali, ale obudzili się niewesoło. Z wędrownych Rusinów została tylko najgorsza hałastra: pijaki, złodzieje i wszelkiego rodzaju potępieńcy.

Tę straszną hołotę powieźli popi do Poczajowa, przerobili na schyzmatyków, dali każdemu za to rubla i rozegnali po wsiach najbliższych, żeby sobie na chleb zapracowali. Ale słychać, że ich po jednemu gdzieś na kraj świata powywożą, żeby przypadkiem który nie wrócił i dziesiątemu nie rozpowiedział, jak to heretycy Moskale umieją ludzi uwodzić i nieszczęśliwymi czynić, a nawet wtedy jeszcze okrutnymi być, kiedy kto Chrystusa sprzeda i ich schyzmatycką wiarę przyjmie. Tę, a nie inną odpowiedź otrzymają od miłosiernego hosudara ci, co Chrystusa gorzej, aniżeli Judasz sprzedali. Judasz wziął trzydzieści, oni po jednym srebrniku.

Tak się odbyła i tak się skończyła ta wędrówka ruska do Moskala. Ci, co na niej byli i wrócili, drugi raz z pewnością nie pójdą a i dziesiątemu powiedzą, żeby nie szedł. Czcigodni Biskupi ruscy z Najprzewielebniejszym Arcybiskupem ruskim i zacnem Duchowieństwem ruskiem dołożą zapewne wszelkich starań, żeby lud biedny oświecić i kąkol, który między pszenicą zły duch zasiał, wyplenić i w ogień wrzucić. Tego też zły duch północy najbardziej się obawia i temu z całych sił zapobiedz usiluje.

Każdy rozumie, że przed szatańskiemi sidłami z północy można lud ruski tylko wtedy uratować, jeżeli się dawne, dobre stosunki na Rusi przywróci, jeżeli się obudzi w chłopstwie ruskiem dawne zaufanie do dworów polskich na Rusi i do Polaków, wogóle do Czcigodnych Biskupów ruskich i zacnego Duchowieństwa ruskiego. Żeby więc do tego nie dopuścić, zły duch północny zaraz po tej wędrówce nieszczęśliwej z całą szatańską gorliwością rozpoczął swoją pracę. Naprzód tedy oni ruscy adwokaci, profesorzy, kupcy i doktorzy, złem duchem z północy owiani, którzy są przyczyną wszystkiego złego na Rusi, a za nimi resztki takich popów ruskich, jakich przed dwudziestu laty i później widzieliśmy wędrujących nad Bug i przyjmujących schyzmę dla nawracania nieszczęśliwych Unitów: ci tedy panowie ruscy i tacy popi ruscy, skoro tylko wędrówka się skończyła, podnieśli wrzask niesłychany — nie na wędrówkę, nie na złego ducha północnego, nie na swoje złe uczynki, tylko na Polaków wprost, a ubocznie, na Czcigodnych Biskupów swoich i na zacne Duchowieństwo swoje. Wrzeszczy więc ta zgraja faryzeuszów, że przyczyną tej nieszczęśliwej wędrówki my Polacy jesteśmy, bo na Rusi siedzimy, bo niby ruskiego obrządku i ruskich księży nie szanujemy, więc lud ruski ucieka tam, gdzie ruski obrządek jest szanowany.

Ruskiego katolickiego obrządku, jak całemu światu wiadomo, pod Moskalem już niema, bo go Moskal heretyk zniszczył przez takich popów ruskich, jak ci wrze-

szczący i w taki sposób, jak to widzieliśmy nad Bugiem. A dlaczegóż ci popi mówią, że obrządek ruski tam szanowany, że Polacy są winą wędrówki? Dlatego oczywiście, ażeby biedny lud ruski dalej utrzymywać w błędzie, że katolicka ruska wiara niczem się nie różni od schyzmatyckiej, heretyckiej, moskiewskiej, żeby dalej niecić nieufność do Polaków, od których biedny chłop ruski mógłby się dowiedzieć, jakim Moskal jest i jaką ma wiarę. Tym sposobem chcą te złe duchy nieszczęśliwej Rusi wzbudzić także nieufność do Czcigodnych Biskupów ruskich i zacnych kapłanów ruskich, boć lud wie, że ci Czcigodni Biskupi ruscy i dobrzy kapłani ruscy tak samo przedstawiają Moskala i wiarę moskiewską, jak Polacy na Rusi i z tymi Polakami braterską zachowują przyjaźń i zgodę.

Ta wędrówka ruska i te wrzaski tych złych duchów nieszczęśliwej przypominają nam bajkę, którą nasi chłopi w żartach ułożyli, tak samo, jak i ruscy chłopi na naszych chłopów różne żarty mają.

Jeden król polski wyprawił się na Ruś z wielkiem wojskiem. Nasi chłopi, co tam z tym królem byli, opowiadali potem, że wtedy jakiś Rusin wypatrzył w lesie sowę na gnieździe, wysoko na sośnie; przyszedł do wsi i powiada, że tam siedzi *boh* na drzewie. Rusini rada w radę *ukwolili,* aby tego *boha*, to znaczy po naszemu boga, sprowadzić do wsi, to będą mieli wielkie szczęście we wszystkiem. Zebrała się wielka rzecz chłopów, wzięli ze sobą drabinę i szli. Dopóki przez pole, to wszystko dobrze, ale jak przyszli pod las, to ani rusz naprzód. Nieśli drabinę w poprzek, a nie wzdłuż, jak ją tu teraz przenieść? Wyrębują las jak drabina długa i tak przychodzą do drzewa, gdzie siedzi sowa na gnieździe. Próbują drabinę przystawić, ale wszystko zadarmo, bo za krótka. Tak rzucają drabinę na bok, wybierają najmocniejszego z pomiędzy siebie i stawiają go pod drzewem; jeden włazi na niego, drugi na tego i tak właził jeden na drugiego, aż ostatni stanął na ramionach poprzednika, chwycił się jedną ręką gałęzi, a drugą sięga po *boha* i krzyczy: „Mam boha, mam“. Tak ten, co był na samym spodzie, chce czemprędzej zobaczyć boha, odskakuje na bok i wszystko spada na ziemię, jak gruszki z drzewa. Wszystko się potłukło, ale najgorzej temu, co się trzymał ręką za gałąź, *boh* mu uciekł, ale on wisi i niema sposobu dostać go na ziemię. Co Rusini robią? Jeden, co umie dobrze rzucać, śmignął siekierką, trafił tego, co wisiał, w głowę i tak go odciął od drzewa.

Taka jest bajka mazurska. Bajką ona, ale i prawdy w niej dużo. Ta sowa na drzewie czy to nie schyzma, która ma Rusinom dać szczęście we wszystkiem, a sprowadza im tylko nieszczęście we wszystkiem? Ten, co tego *boha* na drzewie wypatrzył, czy to nie ci z Rusinów, których zły duch z północy podleciał? A ta wędrówka po *boha*, pełna niedorzeczności, czy to nie praca tych ruskich panów i popów, którzy służą złemu północnemu duchowi? A ten, co wisi na drzewie, czy to

Człowiek sądzi — a Bóg rządzi.

Opowiadanie historyczne z końca XVII w.

(Przez Sta.)

(Ciąg dalszy).

Ale szkoda wszelako starościanki! Oj, szkoda! Co to była za dziewka! Przeklęty Orun! — mrunknął książę i jakoś dziwnie mu się zrobiło na wspomnienie starego żyda.

— Co on też powie, co on też zrobi? — rzekł znowu głośno, ale do siebie Juraś.

— Kto? — spytał Zachar, który sam jeden wśród powszechnego wrzasku uważał na to, co Chmielnicki mówił.

— Ano Orun. Stracił przecie wszystko.... Ma wielkie wpływy w Carogrodzie.... Gotów się łotr mścić.... Cha, cha, cha! — zaśmiał się nagle, ale z jakimś przymusem książę, spostrzegłszy niepokój w twarzy Zachara — kiedy go tak poganie kochają, to niech mu wrócą, com ja wziął. Dobra nasza! Co tam żyda po nocy wspominać! Pijcie-no przecie, pijcie! Wina tu! Cieszmy się wspólnie! I żeby nam się dobrze działo.

Tak krzycząc ochrapłym głosem, wychylał Juraś jeden kielich za drugim i innych zachęcał do picia, a nikt się tu nie dał prosić, oprócz jednego Iskry, który od ostatnich słów księcia o Orunie pozostał cały wieczór dziwnie zamyślony.

Biesiada i pijatyka trwały całą, długą noc jesienną. Nad rozszalałą zgrają, przepięknie wypogodzone niebo, iskrzyło się miliardami gwiazd, które zdawały się drgać i mrugać, jakby nie mogły znieść widoku tego, co się na ziemi działo; księżyc bladem, niepewnem światłem oblewał chwiejącego się na polu trupa biednej Orunowej, a wiatr cicho, jakby nieśmiało, jęczał w konarach lipowej alei.

Nareszcie księżyc zaszedł, a za jego przykładem i gwiazdy poczęły schodzić z nieba blednąc i niknąc z kolei, podczas gdy na wschodzie pojawił się najpierw szary świt, który niebawem zmienił się w światło srebrzyste, następnie różowe, czerwone, a w końcu złociste i piękny dzień zajaśniał.

Razem ze wschodzącym dniem skończyła się hulanka na książęcym dworze. Ciężki, pijacki sen zmorzył wszystkich, cały dwór spał też kawał z południa, lecz najdłużej sam książę. I dobrze zrobił, że nie spieszył się z przebudzeniem, bo było ono bardzo niemiłe.

nieobałamucony, biedny, nieszczęśliwy chłop ruski? A ci, co siekierą tego biednego chłopa niby od gałęzi odciąć chcą, a rzeczywiście w głowę go trafiają i zabijają, czy to nie ci panowie i popi ruscy, którzy teraz na Polaków, na Arcypasterzy ruskich i na poczciwych księży ruskich wrzeszczą?

Bracie Rusinie! ja *Krakus*, chłop polski, nie ze złości tę bajkę ci opowiedziałem. I ty, bracie, jeżeli co złego we mnie ujrzysz, ułóż taką samą bajkę i opowiedz mi ją, ażebym się z niej czego dobrego nauczył. Jak mówię, ja cię, bracie, tą bajką bynajmniej nie chcę obrazić, radzę ci tylko po bratersku, żebyś cudzych, fałszywych *bohów* nie szukał, trzymał się silnie swojego prawdziwego, katolickiego, a z pewnością nie za światami, ale w domu, u siebie znajdziesz szczęście we wszystkiem; a jeżeli prawdziwy Bóg Wszechmogący, Pan nieba i ziemi szczęścia ci nie użyczy, to ci go z pewnością i sowa północna nie da. Trzymaj się, bracie kochany, swojej świętej katolickiej Cerkwi ze wszystkich sił swoich, słuchaj Czcigodnych Arcypasterzy swoich i zacnych księży swoich, a Bóg z pewnością pobłogosławi cię i obaj będziemy żyli ze sobą w zgodzie i miłości braterskiej, jako to nam Bóg przykazał. Przez straszną, niewypowiedzianą mękę i śmierć Swoją zbudował nam, bracie Rusinie, Jezus Chrystus św. Kościół katolicki niby fortecę wielką, żebyśmy w niej siedzieli, łatwiej szatanowi oprzeć się mogli, wieczne i doczesne szczęście sobie zdobyli. Szatan, którego Chrystus przez mękę i śmierć Swoją pokonał, z piekielnego gardła jego nas wyrwał, wojuje bez przestanku z Jezusem Chrystusem, żeby Jego męka straszna i śmierć na marne poszła, żebyśmy ani wiecznego ani doczesnego szczęścia nie osiągnęli i buduje bez przestanku swoje fortece w herezyach. Taką fortecą złego ducha jest i schyzma. Z pychy ona, bracie Rusinie, urodziła się, jak i sam szatan, który kiedyś był aniołem, dopóki go Bóg za bunt przeciwko sobie wymierzony przez Michała Archanioła, patrona naszego, do piekła nie zepchnął. W Konstantynopolu, tam, gdzie dziś Turcy siedzą, tam, bracie Rusinie, początek tej z pychy szatańskiej narodzonej schyzmy. Tam w tym Konstantynopolu rządzili przed wiekami cesarze greccy, dobrzy z początku, Jezusowi Chrystusowi ulegli, potężni bardzo i szczęśliwi. Ojciec św. w Rzymie, który z woli Chrystusa jest najwyższą głową i najwyższym wodzem fortecy Chrystusowej, ustanawiał w tym Konstantynopolu zastępców swoich, patryarchami nazywanych. Kto z Rzymu, gdzie Ojciec św. ma stolicę, przyjął chrzest i wiarę Chrystusa Pana, zwał się rzymskim katolikiem czyli łacinnikiem, kto z Konstantynopola, gdzie patryarcha rzymski był, a greccy cesarze rządzili, zwał się greckim katolikiem. Łacińscy katolicy odprawiali nabożeństwa w mowie rzymskiej czyli łacińskiej, greccy w mowie słowiańskiej czyli cerkiewnej. Tak powstały dwa obrządki katolickie: rzymsko- i grecko-katolicki, ale wiara była jedna, wiara prawdziwa Chrystusa Pana, jeden był Kościół św. ka-

---

Chmielnicki miał duszę, od dziecka zbrodniami wszelkiego rodzaju strutą, to też prawie bez zgryzot sumienia dopuszczał się niezliczonych bezprawi. A ponieważ go dotąd nie spotkała kara za popełnione morderstwa, zabójstwa, rabunki, grabierze i inne niecne czyny, przeto rozuchwalony był nad wszelką miarę.

Zamęczenie więc Orunowej nie poruszyło wcale skamieniałej duszy księcia, ale zrodziło wielką obawę. Obudziwszy się nazajutrz zupełnie trzeźwy i przytomny, i przypomniawszy sobie, czego się wczoraj dopuścił, zląkł się Juraś nie żartem.

Znał on aż nadto dobrze znaczenie i wpływy Oruna w Carogrodzie, a mógł zapomnieć o nich, lub je lekceważyć tylko w nietrzeźwym stanie. Znał także doskonale Turków, panów swoich, i żyda; wiedział, co u nich znaczą pieniądze, że dla złota gotowi są wszystko zrobić, a dla własnej korzyści poświęcą bez namysłu tego, który im mniej będzie potrzebny.

Że zaś Oruna przeniosą Turcy nad niego, księcia Sarmacyi, o tem także nie wątpił Chmielnicki, bo czuł, że nie odpowiedział oczekiwaniom tureckiego rządu.

Wszystkie położone w Jurasiu nadzieje zawiodły; lud się do księcia nie garnął, lecz uciekał od niego; Kozacy mieli, jak jeden człowiek, stanąć przy synu Bohdana, a oni się od niego odwracali i nienawidzili go z całej duszy. A co najgorsza, że swoją srogością, chciwością, zdzierstwem i swawolą, popsuł tę trochę dobrego, które jego poprzednik zdołał uczynić.

Im dłużej rozmyślał Juraś, tem wyraźniej czuł, że jego sprawa źle stoi; a Orun, ten marny wczoraj żydek, wyrósł dziś w wyobraźni księcia do wielkiej potęgi, która mścić się będzie swej krzywdy i jego zdruzgocze. Jak się bronić, jak ratować? Nie wiedział zuchwały dotąd zbrodniarz.

Zgryziony i niespokojny, kazał Chmielnicki wołać Zachara; ten wierny a przebiegły doradca, powinien przecie wymyśleć jaką radę, podać jaki sposób obrony.

Małe pachelę, czuwające zawsze u drzwi książęcej komnaty, skoczyło szybko z rozkazem, ale minęła długa godzina, a Iskra nie przybywał. Nareszcie chłopiec wrócił, ale z wieścią, że Zachara na całym dworze nie może znaleźć, że nadto do miasteczka posyłał, lecz i tam go niema.

Juraś uczul, jakby żądło w sercu. Czyżby ten starzec, który zdradził starościnę i tak pragnął pomścić się na niej, że w młodości wzgardziła jego miłością, chciał z kolei zdradzić i jego?

tolicki, jedna forteca Chrystusa i w tej fortecy jeden wódz Chrystusów, Ojciec św. w Rzymie. I dobrze było.

Ale szczęście, sława, bogactwa i rozpusta obudziła w cesarzach greckich pychę, z którą zawsze równocześnie przystępuje do człowieka szatan i prowadzi go na złe drogi. Zaczęli ci cesarze greccy przemyśliwać nad tem, jakby to nietylko w świeckich rzeczach być głową na świecie, ale i w rzeczach Wiary świętej, w Kościele Chrystusowym. I cóż robią? Oto podmawiają patryarchów w Konstantynopolu, żeby Ojca św. w Rzymie nie słuchali, sami dla greckiego obrządku stali się papieżami. Szatańskie te namowy z początku nie skutkowały, aż wreszcie znaleźli się i tacy patryarchowie, którzy tym podszeptom szatańskim ulegać zaczęli. Od razu wydobyć się z pod władzy Ojca św. w Rzymie nie śmieli i pozornie uległość mu okazywali, ale naukę i wiarę Chrystusa Pana przeinaczać i fałszować zaczęli. Ojciec św. upominał ich, błędy im wykazywał, do posłuszeństwa wzywał i przypominał, że Chrystus Pan jednę nam dał wiarę, jeden Kościół św. czyli jedną fortecę zbawienia, a w tej fortecy jednego ustanowił przewodnika w Rzymie, nie dwóch, ani trzech, ani więcej, bo wiedział jako Bóg, że inaczej popadlibyśmy w błędy heretyckie. Do czasu, przynajmniej pozornie, upomnienia te skutkowały, ale wreszcie znalazł się taki patryarcha, który już otwarcie od posłuszeństwa Ojcu św. w Rzymie odstąpił i otwarcie już przeinaczoną i błędną naukę Chrystusową szerzyć zaczął. Ojciec św. wyprawił wtedy do Konstantynopola posłańców swoich. Ci starali się owładniętego pychą szatańską patryarchę na dobrą drogę zwrócić, wykazywali błędy, jakie w nauce w Chrystusa Pana poczynił, ale on nawrócić się nie chciał. Udali się więc do kościoła św. Zofii, najpiękniejszego, jaki był w Konstantynopolu, i tam na tego patryarchę jako na złowiercę czyli heretyka *klątwę* rzucili. Złożyli potem pismo, które zawierało wyklęcie, na ołtarzu zgasili światło na znak, że odtąd rządy ciemności, rządy szatańskie w obrządku greckim zapanowały, otarli proch z obuwia na znak, że z tą schyzmatycką wiarą Wiara święta katolicka już niema nic wspólnego, a przy wyjściu z kościoła, te na głos wypowiedzieli słowa: *Bóg, który nas widzi, niechaj sądzi sprawy nasze.*

Jest więc, bracie Rusinie, wiara schyzmatycka błędna, przez Kościół św. katolicki wyklęta, dziś jeszcze gorsza niż wtedy była, bo dziś już nie patryarchowie tą moskiewską rządzą, ale świeccy ludzie carowie moskiewscy, którzy czasów na swoich zastępców w wierze ustanawiają jenerałów swoich. Jest więc, bracie Rusinie schyzma fortecą szatańską, w której ani doczesnego ani wiecznego szczęścia nie znajdziesz.

Dziś przez grzechy nasze rozpanoszył się i nadął bardzo ten zły duch północny, ale tą jego nadętością i rozpanoszeniem się nie powinniśmy się zaślepiać. Wielka była potęga cesarzów greckich, a dziś marny Turek na ich miejscu w Konstantynopolu zasiada, w tym

---

Straszny gniew chwycił księcia na tę myśl, ale wnet rozśmiał się ze swego przypuszczenia, mówiąc:

— Toż ja Zacharowi nic nie uczyniłem, za cóżby się mścił, lub mnie zdradzał? On miał dla mnie nawet najwięcej wyrozumiałości.... Ba! do niejednej.... swawoli i pohulanki namówił! I terazby mnie opuszczał? Dlaczego, po co? Nie, to niepodobna! Ale jeżeli rzeczywiście uszedł, to mnie zrabował z pewnością! — dokończył Juraś i porwawszy klucze, pobiegł szybko do skarbca.

Skarbiec pełen był zrabowanych u Oruna rzeczy i kosztowności, sreber i klejnotów; zdawało się, że niczego nie brakło. Zajrzał potem Chmielnicki do szkatuły, ale tu prawie nic nie było złota, tylko nieco srebrnych pieniędzy; nie pamiętając jednak, ile gotówki znaleziono i zabrano żydowi, nie mógł dojść z pewnością, czy jest wszystko, lub nie.

Ponieważ zaś Zachar często wychodził nagle w jakiej sprawie, przeto książę pomyślał, że może i teraz pospieszył odwrócić grożące niebezpieczeństwo.

Dotąd nie robił wprawdzie nigdy swych wycieczek bez wiedzy Chmielnickiego, ale dziś, nie chcąc może budzić pana, poszedł nie opowiedziawszy się.

Tak sobie wytłómaczywszy zniknięcie Zachara, uspokoił się Juraś znacznie i z niecierpliwością wyglądał powrotu wiernego sługi. Aby zaś skrócić sobie oczekiwanie, jął pić, wedle swego zwyczaju.

W kilkanaście dni po spaleniu Orunowej zagrody, z której została już tylko kupa zimnego popiołu i nieco gruzów, zaczęto szeptać w miasteczku, jakoby dziwne rzeczy działy się na zgliszczach i w starym ogrodzie.

Widywano tam w nocy jakieś światełka, słyszano bolesne jęki i płacze, stłumione głosy i szmery; ludzie jęli stronić od niebezpiecznego miejsca, mianowicie wieczorem, nikt nie ważył się zbliżyć do tak ludnego niedawno obejścia Orunowego.

Pewnej jednak posępnej nocy, kiedy całe niebo czarnemi obciągnięte chmurami, jakby ciemnym płaszczem, przykryło ogród i pogorzelisko, a wiatr przeraźliwie jęcząc i gwiżdżąc wśród drzew stuletnich, tłumił wszystkie inne odgłosy, skradał się wolnym, ostrożnym krokiem starzec pochyłony, chwiejący się, z brodą i głową jak śnieg białą.

Trudno w tym starym, zgrzybiałym człowieku poznać Oruna, który jeszcze przed niewielu dniami tak był rzeźwy i żwawy, a jednak to on; nieszczęście go tak zmieniło.

Idąc, zatrzymywał się handlarz co chwila i nad-

Konstantynopolu, w którym schyzma się narodziła i bisurmańskie swoje nabożeństwa w tym samym kościele odprawia, w którym ta schyzma wyklętą została. Przeniosła się ta schyzma na północ, tu się nadyma i ztąd, jak niegdyś z Konstantynopola narody kusi, jak kusił szatan Zbawcę Naszego na puszczy. Woła do tych narodów: „Wszystkie skarby świata dam wam, jeżeli Chrystusa odstąpicie i mnie się pokłonicie“. Niedługo czekać, a Chrystus Pan, jeżeli Go nie odstąpimy, jeżeli na chłosty czartowskie zasługiwać nie będziemy, powie: *Pójdź precz szatanie! albowiem napisano: Panu Bogu Twemu kłaniać się będziesz i Jemu Samemu służyć będziesz.* I z potęgi i pychy schyzmatyckiej zostanie tylko dym i kurzawa. Mocniejszy Bóg, bracie Rusinie, aniżeli schyzma.

Sprawy handlowe Kółek rolniczych.

Przy sposobności referatu Profesora Dra Franciszka Stefczyka, wygłoszonego na Zjeździe Delegatów Kółek rolniczych powiatu krakowskiego, 27 grudnia 1892 r.

(Dokończenie.)

Zastrzegliśmy się już poprzednio, a teraz powtarzamy raz jeszcze, że o różnych sprawach, dotyczących sklepów i Kółek rolniczych, jak w ogólności o handlu wiejskim, nieraz jeszcze będziemy pisać Czytelnikom naszym. Tak samo i o wielu szczegółach, dotyczących Związku handlowego będziemy przy tych sposobnościach mogli pomówić. Tutaj na zakończenie, musimy przytoczyć jeszcze kilka niemniej ważnych wniosków, o których mówił prof. Stefczyk w dalszym ciągu swego zajmującego odczytu. Wniosków tych najważniejszych było trzy, a wszystkie odnoszą się przeważnie do tego właśnie, cośmy pisali w pierwszym tegorocznym numerze *Krakusa*; chodzi w nich mianowicie o wskazanie środków, umożliwiających i ułatwiających porządne oraz korzystne kształcenie się w swoim zawodzie tym, którzy się naszym handlem wiejskim zajmują. Że takie środki są dla nas bardzo potrzebne, o tem wszyscy dobrze wiemy; dlatego wielką i prawdziwą zasługę ma p. referent, że i tym przedmiotem się zajął.

Nie utrzymywał wprawdzie p. Stefczyk, żeby środki, które zalecał, były jedynie dobremi, ale wyraźnie zastrzegł, że chciałby dać początek dalszej pracy w tym kierunku. Nie wątpimy też, że sprawy te zainteresują naszych Czytelników; może też niejednemu przyjdzie w tym względzie jaka szczęśliwa myśl do głowy i potem zechce zapatrywania swoje przesłać w liście do *Krakusa*, o co każdego chętnego bardzo prosimy.

Wnioski prof. Stefczyka dotyczą:

1. Ustanowienia handlowych lustratorów dla sklepów Kółek rolniczych, na wzór wędrownych nauczycieli rolnictwa.

2. Urządzenia nauki rachunków na kursach dopeł-

---

słuchiwał; aż minąwszy zgliszcza, skierował się w on dziki kąt ogrodu, w tem z pod klombu gęstych krzaków podniosła się jakaś postać i zastąpiła mu drogę; żyd drgnął i cofnął się przerażony, ale postać wyciągając, szepnęła:

— To ja Agafia! Co noc tu na was czekam.... Wiedziałam, że z obawy przed tym zwierzem w nocy przyjdziecie. Wszystkie się rozbiegły, ja sama ukryłam się.... Wiecie już gdzie? Tam też schowałam ciało nieszczęśliwej....

Tu szlochanie przerwało mowę Agafii; Orun w milczeniu uścisnął rękę staruszki i razem, nic nie mówiąc, poszli pod ową akacyę, gdzie to mienionej wiosny Juraś podsłuchał Malkę i Ksenię.

Tu opodal ławki, wśród gęstych zarośli, było tajemne wejście do sklepu, o istnieniu którego nikt nie wiedział, oprócz Oruna, jego żony i Agafii.

Spuściwszy się do lochu, zapalił żyd świecę, a wierna sługa podniosła wieko długiej skrzyni, w której znajdowało się poszarpane ciało Orunowej, przechodzące już w zgniliznę.

Orun rzucił jedno dość zimne spojrzenie na zwłoki zamordowanej żony, której nie kochał wcale, bo starą i bardzo szpetną była; a żyd miał serce twarde i całe zatopione w złocie, które z chciwością zbierał dla swego Jakóba, gdyż na całym świecie jedynie syna kochał.

Skinął też szybko na Agafię, aby pudło zakryła; sam zaś odpasał trzos i jął go napełniać złotem ze stojącej pod ścianą szkatuły; gdyż w małym domku znajdowała się tylko połowa jego pieniędzy.

Gdy nareszcie wszystko, co było w szkatule znalazło się w trzosie, Orun zgasił świecę i opuścił sklep wraz z Agafią, która znowu cicho płakać zaczęła.

Idąc ostrożnie przez ogród, zmierzali do domu tego samego żydka, po którego to posłała Orunowa, aby się o Kseni czegoś dowiedzieć.

Gdy już stanęli przy progu, spytał Orun swej towarzyszki:

— Jakże Agafio, chcesz tu pozostać, czy też iść ze mną? Mnie czeka daleka droga, najpierw do Kamieńca, potem do Carogrodu. Wiesz, że ważne mam zadanie przed sobą, nie mógłbym się o ciebie troszczyć. Gdybyś jednak chciała?...

— Nie, ja tu się ukryję. Muszę też pogrzebać moją biedną panią.... nikt się nie odważy tego zrobić.... A potem, gdy już kara dosięgnie tego psa wściekłego i ludzie będą mogli spokojnie po ziemi chodzić,

niających w szkołach ludowych w taki sposób, żeby uczniowie tych kursów obznajamiali się z praktyczną rachunkowością potrzebną w Kółkach rolniczych, w Radzie gminnej, w kasach gminnych, tak jak we wszystkich interesach włościańskich.

3. Utworzenia wreszcie w Krakowie — w porozumieniu ze Związkiem handlowym i szkołą handlową, stałych paromiesięcznych kursów, na którychby synowie włościan mogli nabywać potrzebnych wiadomości co do handlu wiejskiego, prowadzenia sklepów, utrzymywania rachunków itd.

Czy i o ile te środki mogłyby być w rzeczywistości skutecznemi, o tem sądźcie sami, kochani Czytelnicy. Wykonanie nie przedstawiałoby wielkich trudności, jakby się na pozór zdawać mogło, zwłaszcza że już w tych urządzeniach wiejskich zaczynamy nabierać pewnego doświadczenia. I tak — lustratorzy handlowi byliby dla sklepów wiejskich tem, czem są dla Kółek rolniczych, znani już dobrze w wielu miejscach, wędrowni nauczyciele rolnictwa. Prawie każde Kółko rolnicze i każdy prawie kierownik sklepu potrzebowałby z pewnością w niejednem rady lub wskazówki, wyjaśnień i pomocy; do tego właśnie byliby tacy lustratorowie, nauczeni i doświadczeni w tych rzeczach; w tym umyślnie celu objeżdżaliby oni i zwiedzali szczegółowo wszystkie sklepy Kółek rolniczych. To byłaby jednak tylko pomoc doraźna, bardzo pożyteczna od czasu do czasu, ale nie gruntownie pouczająca, boć taki lustrator po kilka miesięcy bez przerwy w jednym sklepiku przesiadywaćby nie mógł. Dlatego też dwa drugie wnioski prof. Stefczyka podają stałe sposoby nauczenia sklepikarzy i synów włościańskich tego, co im koniecznie potrzebne. Nauczyć się zaś im głównie trzeba jednego przedmiotu, to jest rachunkowości. Trudno uwierzyć takiemu, który się o tem nie przekona, jak niesłychanie jest ważne i na dobrobyt każdego wpływające, dokładne i porządne prowadzenie rachunków.

Każdy gospodarz — czy pan, czy chłop — czy mniej, czy więcej zamożny, wtenczas tylko pochwali się dobrem gospodarstwem i za przykład drugiemu posłuży, jeżeli sumiennie rachuje dochody i wydatki i jeżeli jedne do drugich sumiennie zastósuje. Jeżeli więc jest to ważne w gospodarstwie, o ileż ważniejsze, bo już niezbędnie konieczne w prowadzeniu i utrzymaniu sklepiku. Tutaj każdy cent musi być w swoim czasie i w swojem miejscu najporządniej zapisany, a w każdej prawie chwili musi być widocznem z rachunków, ile czego jest w zapasie, jaki dochód i wydatki, czy i jakie długi itd. Bez tego, choćby się sklep jakiś czas dobrze trzymał, nie może długo istnieć, nieporządek wkraść cię musi i bankructwo byłoby nieuniknione.

Tak samo na porządnej rachunkowości opierać się muszą: dobra gospodarka gminna, Zarząd Kółek rolniczych, kas gminnych, Czytelni ludowych i wszelkich zakładów oraz instutucyj.

Nauczyć się tego, wcale nie trudno; każdy to poj-

---

wtedy postawicie mi chatę w ogrodzie, którego będę wam strzegła do śmierci.

— Kara wnet dosięgnie zbrodniarza, prędzej niż myślisz i on się spodziewa. I domek ci postawię, jak żądasz.

Odparł Orun i wraz z Agafią zniknął w głębi domu swego przyjaciela.

Od czasu ostatniej zbrodni Jurasia, cisza panowała na książęcym dworze. Zrabowane kosztowności i pieniądze zapewniały życie bez troski, przynajmniej na czas niejaki. Więc też cała hultajska drużyna Chmielnickiego siedziała spokojnie, nawet nieco przerażona i wyczekująca czegoś, jakby nad głową przeczuwała burzę. Niektórzy zaś przyjaciele, główni pochlebcy i podżegacze księcia, powynosili się cicho ze stolicy, dążąc już to do pułków kozackich, już to do innych miasteczek.

Zaczął się grudzień zimny i mokry. Chmielnicki był wściekły, w okropnym humorze, bo mu się nic nie wiodło. Gdy dnie mijały, a Zachar nie wracał, Juraś postanowił sam sobie radzić.

Pomyślawszy więc, że byle mu się udało Oruna po cichu sprzątnąć, wszelkie niebezpieczeństwo od siebie odwróci, porozstawiał na wszystkich drogach czaty; lecz napróżno; czas uchodził, a zbiry książęce żyda nie pochwyciły.

Szamotał się więc w bezsilnej złości Chmielnicki, tem więcej, że na trzeci dzień po zniknięciu Zachara, zemsta nad starościną wysunęła mu się z ręki.

Wśród pijaństwa i troski o Zachara, zapomniał Juraś zupełnie o pani Dorocie i Handzi; dopiero po dwóch dniach przypomniało mu się, że biedna starościna wraz z córką siedzą zamknięte bez pokarmu i napoju.

— No, to się baby wypościły — mruknął do siebie Chmielnicki ze złośliwym uśmiechem. — Trzeba je iść pocieszyć. Ale komu tu klucz od ich więzienia oddać? Bo przecie sam nie będę im jeść nosił!

I poszedł, chcąc nieszczęśliwe kobiety dręczyć nowemi pogróżkami i urągowiskami, aby w ten sposób ulżyć w obecnym strapieniu. Lecz któż opisze jego zdziwienie i gniew, gdy izbę zastał pustą, a kobiet ani śladu. Zaczął przypuszczać, że Zachar zmiękczony prośbami starościny, wypuścił ją wraz z Handzią i razem z niemi umknął, zabrawszy większą część pieniędzy zrabowanych Orunowi.

(C. d. n.)

mie łatwo i dla każdeko włościanina okaże się to bardzo przystępne, jeżeli wykonanym będzie plan prof. Stefczyka, jeżeli na kursach dopełniających w szkołach ludowych zaprowadzoną zostanie nauka rachunków, odpowiednio do tych potrzeb. Dla tych wreszcie, dla których oprócz tego potrzebne są inne jeszcze to jest handlowe wiadomości, dla samych wiejskich sklepikarzy, obmyśla sposób nauki — trzeci z powyższych wniosków. Trzech-miesięczny kurs nauki handlowej w Krakowie dym razie witamy je z radością i życzymy im szczerze powodzenia, jako nowym objawom, nowym owocom pracy nad podniesieniem naszego dobrobytu. Aby wszelkie te wysiłki i pomysły znajdowały zrozumienie i poparcie u tego ludu, dla którego dobra są wymyślone, oby ci włościanie coraz więcej sami się chcieli do tego dobrego dzieła przyczyniać, bo ciągle, wytrwale i mężnie musimy wszyscy pracować, żeby pomyślność, dobrobyt i oświata chciały na dobre u nas zamieszkać.



Dnia 27 lutego 1861 roku przed kościołem OO. Bernardynów w Warszawie.

(Rycina ta odnosi się do artykułu „Nasze dzieje w ostatnich stu latach“ umieszczonego na str. 4 w Nrze 3 *Krakusa* z zeszłego miesiąca).

urządzony byłby na to, żeby każdy syn włościański, chcący się w tym zawodzie wykształcić, mógł sobie na trzy miesiące przyjechać do Krakowa, znaleźć tu jakieś środki do utrzymania się przez ten czas i uczyć się w szkole handlowej od nauczycieli umyślnie do tego wyznaczonych, a zarazem praktykować czyli po prostu terminować przez ten czas w Związku handlowym Kółek rolniczych.

Powtarzamy raz jeszcze, że ani p. prof. Stefczyk, ani my nie chcemy bynajmniej utrzymywać, że wykonanie tych wniosków będzie już odrazu lekarstwem na wszystkie biedy i potrzeby naszego ludu. Ale w każ-

Wiecie zapewne sami doskonale, kochani Czytelnicy, jakie to liczne i rozmaite są potrzeby, biedy i kłopoty wieśniaka. Niech tylko każdy z nas przyjrzy się mieszkańcom swojej rodzinnej wioski, począwszy od swoich własnych interesów i zastanowi się nad tem chwilkę uważnie, a po namyśle każdy z nas przyjdzie do przekonania, że nie wszystko i nie zawsze tak się u nas dzieje, jakby się dziać mogło i powinno. Mój Boże! ileż to skarbów drogich ukrywa w sobie każda nasza wieś polska, ile to ziemi pięknej i żyznej uprawiają corocznie pługi wieśniacze, ile rąk silnych i zdrowych w pocie czoła zimą i latem pracuje po naszych

polach i zagrodach, ile bydełka wszelkiego rodzaju, ile drobiu różnego chowa się po naszych wiejskich obejściach, ile wreszcie innych środków zarobku, których zliczyć trudno, znalećby można na wszystkie strony. Czemuż pomimo tego wszystkiego tyle biedy i nędzy kryje się wciąż pod naszemi strzechami? Czemu te lepianki nasze takie nizkie i brudne, drągami popodpierane, czemu te dzieci nasze takie nędzne i dzikie, czemu jednem słowem tak z każdego kąta jeżeli już nie głód, to w każdym razie bieda lub niedostatek wygląda? Czemu gdzie ruszyć się za granicę kraju naszego, zaraz na Szląsku, w Czechach na Morawie, a potem dalej po świecie wszędzie wieśniacy, nieraz w cięższych warunkach, bo na ziemi gorszej nieraz stokroć od naszej mają się dobrze, mieszkają porządnie, żyją dostatnio, każdy zadowolony ze swego losu, a zamożność i dobrobyt widać u nich na każdym kroku, a u nas czemuż tych zamożnych gospodarzy, tych dostatnich, porządnych, włościańskich gospodarstw, tych prawdziwych polskich kmieci dotąd jeszcze tak mało? Niejeden tak zapytany, gotową miałby na to odpowiedź: „A któż tu na to poradzi; tak już Pan Bóg postanowił, że jednemu dał dużo, zrobił go bogatym i szczęśliwym, choć się o to troszczyć nie potrzebuje, a drugiego stworzył biedakiem i kazał mu w pocie czoła na kawałek chleba pracować; toć i ja (powie jeden i drugi) nie lenię się do pracy, wstaję skoro świt i robię dzień cały aż kości bolą, a ledwo z żoną i dziećmi wyżyć potrafię“.

Tak to się zwykle mówi, ale czy to jest rozumnie i sprawiedliwie tak mówić, nad tem nikt nie pomyśli, bo taka to już nasza ludzka natura, że w sobie samym żaden z nas przyczyny złego nie chce poszukać. Gdyby tak każdy chciał sobie powiedzieć i zwaliwszy wszystko na Pana Boga, który każdego do pracy przeznaczył, poddawał się losowi — no to w takim razie w niczem nie różnilibyśmy się od konia lub wołu, który też od świtu do nocy pracuje, a zje tylko tyle, ile mu się do żłobu lub za drabinę nałoży i po nadto nic go już nie obchodzi. A od czegóż mamy rozum, głowę na karku i parę rąk zdrowych od Pana Boga? Majątek sam nic nie stanowi, bo i najbogatszy pójdzie z torbami, jeżeli jest głupi i leniwy, a na odwrót — każdy, kto w Imię Boże i z tymi prostymi środkami, to jest dobrą wolą, pracą i oszczędnością — a więc i z rachunkiem — rozważnie i rozumnie weźmie się do dzieła, ten niezawodnie dobrobytu i mienia się dorobi. Ale kto żyje z dnia na dzień, byle tylko z głodu nie zginąć, kto się nie stara o to, żeby się oświecić, pouczyć, dobry przykład naśladować, ten też niczego spodziewać się nie może.

W tem właśnie leży sekret naszej biedy, w tem różnica między naszym a zagranicznym chłopem. Obaj pracują, obaj się mozolą, ale tamten kształci się i uczy, wie, co kiedy i jak zrobić, czem sobie w kłopotach poradzić, a oszukać się nie da, bo umie rachować i idzie mu coraz lepiej; nasz gospodarz, choć może, nie pije i pilnuje swej roli, zawsze jednako biedny, bo nie kształci się, choćby mu to łatwo przyszło, bo, choć pracuje, to nie pracuje rozumnie i oszukać go nie trudno. To też zamiast, jak to zwykle lubimy, wygadywać na żydów, lepiej się nam w piersi uderzyć, bo i tu ta sama złego naszego przyczyna i nie może być inaczej. Jeżeli dotąd żyd był mądry a chłop głupi, no to oczywiście z tego wynika, że żyd chcąc — a chce zawsze, mógł bardzo łatwo chłopa oszukać i wyzyskać. I gdyby też nasz wieśniak wiedział, jaka to droga jest ta wiejska zagroda, jakim to skarbem jest ta jego święta ziemia, ile to z małego zagona korzyści wyciągnąć można rozumną pracą, z pewnością by tak lekkomyślnie jak dotąd, żydowi ziemi nie sprzedał.

Z tych to powodów ludzie dobrej woli, którzy kochają szczerze ten nasz lud polski i znają jego serca poczciwe, a których serce boli patrzeć na ludu tego biedę i niezaradność coraz to nowe wynajdą środki, ażeby lepsze czasy sprowadzić. I dzięki Bogu środki te dobremi i skutecznemi się okazują Kółka rolnicze, spółki mleczarskie, nauczyciele wędrowni okazują się zbawienną pomocą w rolnictwie, sklepy chrześcijańskie poczynają dźwigać nasz handel.

Teraz oto znów mamy przed sobą dalsze środki, które wprawdzie nie zostały jeszcze w życie wprowadzone, ale stać się to może niezadługo, jeżeli tylko u interesowanych to jest u samych właśnie włościan znajdą poparcie: Wnioski p. Stefczyka, które zgromadzenie powiatu krakowskiego jednomyślnie przyjęło, będą omawiane na ogólnem zebraniu delegatów wszystkich Kółek rolniczych, które ma się odbyć niezadługo, może na wiosnę.

Tam też będzie się radzić o sposobach, w jakie możnaby te wnioski z pożytkiem wykonać. Dlatego zawczasu napisaliśmy o tem w *Krakusie,* abyście kochani Czytelnicy mogli sobie dobrze i dokładnie to wszystko rozważyć, może nowe jakieś środki i plany obmyśleć i aby potem delegaci wasi na zgromadzeniu mogli z pożytkiem nad temi sprawami obradować.

Kończymy na teraz gorącem życzeniem, ażeby te wspólne nasze zabiegi odniosły pomyślny skutek. Niechaj następne zgromadzenie delegatów dołączy choćby jedną cegiełkę do tej naszej wspólnej budowy, a będzie ztąd prawdziwy pożytek dla naszego ludu i naszej ojczyzny, ci zaś, którzy się do tych nowych, zbawiennych urządzeń przyczynili, a w pierwszym rzędzie p. prof. Stefczyk znajdą już w tem samem przyjemną nagrodę za trudy w pięknym celu podjęte.

Co się Bartkowi wyśniło?

I.

— Gdzież to Walentowa idziecie na taki mróz?

— A gdzieżbym szła? Na robotę do dworu. A ty, Bartuś, nie idziesz? Wczoraj mówił karbowy: co się teraz z Bartkiem dzieje? Chory, czy co takiego? Od miesiąca go już we dworze nie widzę.

— Jakiś kiepski jestem. Po nocach dziwy mi się śnią.

— A niechby się śniły! Jak człowiek ma co zjeść, to niech się tam śni, co chce.

— Tak się to zdaje, moiście wy, ale jak się człowiekowi to i owo bajdurzy, to i nie miło.

— A cóż takiego ci się śniło?

— Moiściewy nieładnie. Tej nocy tak było....

— Może mnie trochę odprowadzisz, bo zimno stać, a i na robotę czas....

Odprowadzał Bartek Walentową ku dworowi i tak jej opowiadał: Tej nocy śpię sobie na przypiecku — no i nic. Dopiero gdzieś nad ranem zdaje mi się, żem z Bartka Plecinogi przedzierżgnął się niby w mieszczana niby w pana. Mieszkam sobie w naszem mieście, ładny mam dom, murem opasany, dachówką obity.

To mi tylko dziwnie, że moja baba, jaką była taka jest, chłopaki — Olech i Wicek — w koszulinach, posmoleni, jak tutaj.

Tak wychodzę ja z tego domu w mieście niby na robotę. Pomyślcie no sobie: niby pan, przy zegarku i łańcuszku, a idę na robotę!

— E! to nic, mój Bartuś — przerwała Walentowa — to nie jest zły sen: wiem na pewne, że jak się chłopu przyśni zegarek, to mu się znaczy sadło, a jak łańcuszek, to kiełbasa.

— Na prawdę mówicie?

— Ano tak!

— Tak poczekajcie no! Idę ja niby na robotę. Patrzę — a tu przedemną pokazuje się ogromne psisko, czarne. Zawraca i hyc do mnie i hyc do mnie! i mlask mnie językiem po gębie i mlask mnie językiem po gębie! Odpycham go, odpycham go, walę pięścią, walę pięścią po łbie, po grzbiecie, a ten ciągle mlask mnie po gębie i mlask mnie po gębie. Wrzeszczę z całych sił i obudziłem się....

— Czarne psisko? O! bój się Boga, Bartuś, to nie dobre. Wiem na pewne, że to *grzech!*

Nie było czasu dalej rozmawiać, bo doszli do dworu. Walentowa skręciła do gumien, a Bartek wracał ku domowi. Przez drogę myślał sobie: Ten zegarek i łańcuszek to niby dobra rzecz.... Ale po co mi się to psisko przyśniło?...

Szkoda wielka, żem jej o tym kogucie nie powiedział, com go tamtej nocy we śnie widział. Piał bo piał okrutnie! Co go z płotu zgonię, on znowu na płot i pieje. Co się to znaczy? Deszcz?... pogoda?... a bo ja wiem?

Wrócił Bartek do domu. Olech siedział na przypiecku i jadł ziemniaka, Wicek rznął jakiś patyk na ławie, matka mełła.

— Myślałam — powiada kobiecina — żeś poszedł na robotę do dworu.

— Nie poszedłem, bom kiepski, wiesz przecie o tem.

— Bój się Boga! gdzieżeś ty kupił tę pszenicę? Patrz! jaka to mąka z niej! jak złoto!

Bartek popatrzył na mąkę niechcący i powiada jakiś zamyślony:

— Wiesz, gdziem kupił: u chłopa na jarmarku — to i po co się pytać?

— Wiem przecie, żeś nie ukradł — odrzekła kobiecina — mówię tylko, że mąka ładna.

Niezadługo Bartek wyszedł na dwór, Kaśka została sama w chałupie z dziećmi. Miele, miele, a myśli i myśli....

— Co się też z tym moim chłopem stało? Powiedzieć co do niego, to albo się nie odezwie, albo gniewnie odpowie. Jakby nie ten sam. Czasem chce być wesoły, ale to już nie ta wesołość, co dawniej. Wszystko u niego jakoś nieszczere, niby nierzetelne. Nawet tak, jakby mu się głos zmienił. Na robotę nie chodzi — powiada, że kiepski, no i mniej jada. Czy mu kto co zadał, czy co takiego? Czyby Margola? Miał się z nią żenić, ze mną się ożenił. Mówiła, że mu tego nie daruje. Czyby ona mu co takiego zadała? Ale nie! Od czasu, jak za Wojtka wyszła, nie było o tem wspominku. Nikt w drugim człowieku nie siedzi, ale przecież się mi zdaje, że nie. Coby tu na to poradzić? Chyba go namówię, żeby poszedł do spowiedzi. Co to dzisiaj? Prawda! czwartek! Namówię go, niech w niedzielę pójdzie, może mu się odmieni....

Tak rozmyślała Bartkowa kobiecina. Nie wiedziała nawet, kiedy pszenicę zmełła.

II.

Tak się jakoś stało, że ani we czwartek, ani w piątek, nie przyszło między Kaśką a Bartkiem do rozmowy o spowiedzi.

W nocy z piątku na sobotę poszedł Bartek spać do komory, gdzie od miesiąca sypiał. Mówił, że mu w izbie duszno. Położył się, jak zwykle, pod pierzyną i leżał, ale nie spał. Koło północy wstał, ubrał się, wziął worek pod pachę i cichutko wyszedł.

Szedł prosto do dworu. Tam krążył długo koło bramy, psy zaczęły szczekać, ale się wnet uspokoiły, bo Bartka znały. Bartek stał i słuchał. Przelazł potem

przez parkan. Nigdzie żywego ducha. Zimno porządne. Słuchał jeszcze chwilę, potem skręcił do szpichlerza. Przy szpichlerzu stanął, słuchał, oglądnął się dokoła. Schylił się potem i wlazł pod szpichlerz. Był to stary szpichlerz, przyciesie leżały na wysokich pniakach dębowych. Pod podłogą można było na czworakach paradnie spacerować.

Ale Bartek tam na spacer nie poszedł.

Znał on tam dyl w podłodze nieprzybity do tragarzy, można go było odchylić i do szpichlerza wleźć.

Wlazł nasz Bartek do szpichlerza, dyl na swojem miejscu położył i rozgląda się. Przez szpary w ścianach księżyc świecił, można było wszystko widzieć. W beczkach, w workach pełno zboża. Wiedział Bartek, gdzie stała w beczce pszenica dla państwa. Poszedł tam i do bre dwie ćwierci do worka nasypał.

Już miał wyjść, ale ujrzał u powały wiszące połcie sadła, szynki i kiełbasy. Przedtem tego tutaj nie widział.

Wziąć co z tego, czy nie? Pewnie, że wziąć — ale jak się do nich dostać? Za wysoko wiszą.

Przegląda beczki, znalazł w jednej niedużo zboża i powoli, cichutko podsunął ją pod wiszące mięsiwo.

Wylazł na beczkę, urwał trzy kiełbasy i mały połeć słoniny.

Wraca ze wszystkiem do dyla pod ścianę i chce go odsunąć, a tu ani rusz. Próbuje raz, próbuje drugi raz — ani rusz....

Czy go kto zobaczył i za dyl od spodu trzyma? Kroplisty pot wystąpił na niego.

Co to jest?

Stoi — patrzy -- nie widać nic, nie słychać nic A to mi się wyśniło! myśli sobie. Jak się ztąd nie wydobędę, zrana przyjdą....

Znowu kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Stoi, słucha — cichuteńko! Co to jest?

Patrzy i widzi, że to nie ten sam dyl.

A jakże mnie zaślepiło! pomyślał sobie.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości polityczne.

Obrady w Izbie poselskiej Rady państwa w Wiedniu toczą się dalej nad budżetem na rok 1893, przyczem rozmaici posłowie rozmaite wyrażają życzenia i stawiają wnioski, wywołujące nowe obrady i przewlekania sprawy głównej; prawdopodobnie jednak już około połowy lutego budżet uchwalonym zostanie. Sprawa utworzenia większości w Izbie poselskiej także nie została jeszcze dotąd załatwioną, każde bowiem z trzech wielkich stronnictw w Izbie, t. j. Koło polskie, t zw. klub hr. Hohenwarta (złożony z Niemców katolików, południowych Słowian i właścicieli wielkich dóbr ziemskich w Czechach) i *lewica niemiecka* — postawiło różne żądania, domagając się uwzględnienia takowych przy ułożeniu wspólnego programu pracy w Izbie poselskiej. Otóż rzeczą jest prezesa ministrów te różne żądania do właściwej miary ograniczyć, aby w ten sposób uzyskać wspólną zgodę na nie. To znowu nie jest tak łatwą rzeczą i zawsze dłuższego czasu wymaga, jeżeli wogóle da się w ten sposób załatwić, by wszystkie stronnictwa zadowolnić.

Przemawiający w Izbie poselskiej w imieniu Rusinów poseł p. Podlaszecki oświadczył, że uznaje, że Polacy wiele ustępstw porobili dla Rusinów i że niema powodu do żalenia się na Polaków w Galicyi, jeżeli zaś Rusini mają jakiś żal, to do Rządu a nie do Polaków, z którymi w zgodzie żyć pragną. Mowa ta kłam zadaje temu wszystkiemu, co pod koniec roku przeszłego mówiono we Lwowie na zgromadzeniach ruskich o Polakach i co ruskie pisma głoszą bez ustanku. Jeżeli Rusini żadnego żalu do Polaków nie mają, to z jakiegoż powodu postanowili ich polityczni przywódcy prowadzić wojnę z polską ludnością we wschodniej części naszego kraju zamieszkałą? z jakiegoż powodu ludność ruska zachowuje się wrogo w wielu miejscowościach wobec ludności polskiej. W ostatnich czasach otrzymaliśmy kilka listów z wschodnich powiatów, z których nam dobrzy i uczciwi ludzie donoszą, że nie Polacy Rusinów lecz odwrotnie Rusini Polaków przy każdej sposobności upośledzają. Z listów tych dowiedzieliśmy się dalej, że nasza polska ludność pośród ruskiej zamieszkała jest bardzo ospałą, nie dba o swą polską narodowość, zaniedbuje polskiej mowy i przeważnie tylko po czesku mówi. Są to wiadomości bardzo smutne a dowodzące, że ludność ta naprawdę pochłoniętą będzie przez Rusinów, jeżeli się w porę ze swego ospalstwa i lenistwa nie otrzęsie. Dzisiaj poprzestajemy na tej tylko wzmiance w tej sprawie, w przyszłości jednak będziemy wymieniali miejscowości, w których ludność do spraw narodowych jest obojętną do tego stopnia, że swem zachowaniem się uwłacza godności polskiego włościanina lub mieszczanina.

W Polsce pod rządem rosyjskim doszło już prześladowanie do tego stopnia, że rząd zabronił używania polskiej mowy nawet lekarzom w szpitalach, wskutek czego chory i lekarz — obaj Polacy — nie mogą ze sobą mówić po polsku. Donoszą, że w sądach nie podobna włościaninowi doprosić się sprawiedliwości, jeżeli po rosyjsku nie mówi. Urzędnicy sądowi — Moskale — są tak niesumienni, że po prostu mówią do biednego polskiego chłopka: widzisz, wygrałbyś sprawę, gdybyś umiał po rusku! Nie chodzi im więc o wymiar sprawiedliwości, tylko o to, aby po rusku w sądzie mówiono.

Wszyscy wiedzą o chełmskich i podlaskich Uni-

tach; ale nie wszystkim wiadomo, że istnieje jeszcze w Augustowskiem kilka tysięcy biednych chłopków Białorusinów, których położenie jest jeszcze daleko gorsze. Zamieszkują oni około samego Groona. Ci nieszczęśliwi, otoczeni zewsząd Litwinami, innego języka i innych obyczajów, trzymają się sami, bez żadnej pomocy. Niedawno donoszono o katowskiem znęcaniu się nad nimi urzędników moskiewskich w Sopoćkiniach (jedynem miasteczku tej okolicy) dla zapędzenia Unitów do cerkwi. Widać, że tego mało, bo teraz „protopresbiter“, głównodowodzący wszystkich wojskowych popów, uwiadamia, że Unici wzięli się na sposób i potrafili odrwić swoich prześladowców. Otóż zabrani do wojska żołnierze z tej okolicy (głównie na Kaukaz, jak mówi protopresbiter), korzystają właśnie z tego wygnania i z oddalenia ich od głównych szpiegowskich zarządów, i oświadczają w pułku, że są katolikami; a oficerowie pozwalają im zaspakajać swoje religijne potrzeby podług katolickiego obrządku. Wróciwszy potem do domu, urlopnicy zachęcają rodaków do wytrwania, twierdząc, że biały car nic o prześladowaniu nie wie, kiedy im, żołnierzom, pozwala być katolikami i chodzić do kościoła, i że batogi i grzywny są sprawką popów i urzędników. Carski sługa protopresbiter widzi w tem podkopywanie podwalin państwa rosyjskiego, i żąda bezwarunkowego katowania nieposłusznych nawet na dalekim wschodzie.

NOWINY.

— **Nowe Czytelnie ludowe.** Dnia 15 b. m. o godz. 3-ciej popołudniu, odbyło się w izbie szkolnej w Wielkiej-Wsi, powiecie brzeskim, uroczyste otwarcie Czytelni ludowej, założonej tu przez krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej. W pięknych, z serca płynących słowach, wskazał zgromadzonym włościanom Wiel. ks. dziekan Józef Rosner z Wojnicza. korzyści, jakie z czytania odnieść można, zachęcając do gorliwego korzystania z Czytelni. Z kolei mówił miejscowy nauczyciel a obecny otwarciu Czytelni JW Jan hr. Stadnicki, zakończając uroczystość, wskazał zgubne następstwa z częstego chodzenia po jarmarkach. — Jako kierownik Czytelni, poczuwam się do miłego obowiązku, podziękować w łamach pisma naszego, prawdziwie ludowego *Krakusa:* Towarzystwu oświaty ludowej za nadesłanych nam 117 książeczek, JW Janowi hr. Stadnickiemu za ofiarowanego *Krakusa* i Wielmożnym księżom: ks. Dziekanowi Józefowi Rosnerowi i ks. Maciejowi Kosaczyńskiemu za trud w uczestniczeniu uroczystości.

Bóg Wam zapłać, zacni Mężowie, którzy nie skąpicie ani trudu ani kosztów dla podniesienia oświaty ludu — prowadźcie nas dalej — skarbiąc sobie łaskę i błogosławieństwo Boże, czego Wam z całego serca imieniem uczestników Czytelni, podpisany kierownik życzy.

St. Ziemba.
kierownik Czytelni.

Z inicyatywy W. ks. Andrzeja Knycza, kanonika oświęcimskiego i p. Antoniego Bielewicza kierownika szkoły z Brzezinki pod Oświęcimem, otwarto w dniu 15 stycznia b. r. za staraniem krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej Czytelnię ludową w gminie Brzezince. Do nader licznie zgromadzonych włościan przemówił podniośle W. ks. kanonik Knycz, podając im na licznych przykładach żywe dowody, ile to dobrego dobra książka w świecie zdziałała; następnie pouczył ich, jak należy książki czytać, aby odnieść z nich korzyść prawdziwą. Następnie kierownik Czytelni, p. Antoni Bielewicz pouczył zgromadzonych o pięknych celach Czytelń ludowych, tudzież o doniosłej i rozległej działalności krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej, na cześć którego zgromadzenie trzykrotny okrzyk: „Niech żyje“ z zapałem powtórzyło. Nadesłane z krakowskiego Towarzystwa 153 książeczek do czytania, natychmiast co do jednej wypożyczono; a W. ks. A. Knycz na zaprenumerowanie dla Czytelni ludowego czasopisma, złożył kwotę 3 zlr., za co mu kierownik serdecznie podziękował.

— **Pojedynek we Lwowie.** *Przegląd* donosi: W teatrze, na pierwszym balkonie we fotelu skrajnym od wejścia, podczas przedstawienia *Fredzia* siedział jeden z tutejszych adwokatów Dr. Ś. Wtem rozsunęła się kotara, zasłaniająca wejście, i w otwartych drzwiach stanął kadet P., syn wiedeńskiego fabrykanta i milionera, a wskutek tego powstał w teatrze okropny przeciąg. Dr. Ś. zwrócił się do niego raz i drugi z prośbą, ażeby raczył albo wejść na balkon, albo zamknąć drzwi. Kadet nie zważał wcale na słowa Dr. Ś.; ten posłał więc biletera z taką samą prośbą. W chwilkę potem zapadła zasłona, ale wnet rozsunęła się gwałtownie, a we drzwiach ukazał się znowu pan P., który podparłszy się w boki, patrzał wyzywająco na Dra Ś. Temu już było za wiele, wstał więc i panu P. zamknął przed nosem zasłonę. Wskutek tego po skończonym akcie zgłosili się do Dra Ś. dwaj oficerowie, żądając w imieniu kadeta P. satysfakcyi. Dr. Ś. przyjął wezwanie i na trzeci dzień odbył się pojedynek na szable, w którym kadet P. otrzymał tak fatalne cięcie w czoło i twarz, że mu oko wypłynęło i trzy zęby wypadły.

— **Morderstwo.** Robotnik Kremża w Skoczowie, na Szląsku pruskim, zaprosił do mieszkania swego chałupnika Józefa Stracha, wiedząc, że tenże ma 200 złr. przy sobie, i zamordowawszy go, obrabował. Ciało wyniósł w nocy z domu i wrzucił do dołu o 300 kroków oddalonego. Ale i ta zbrodnia wydała się natychmiast. Zanim jeszcze zbrodniarz zdołał użyć cośkolwiek z swej zdobyczy, już go aresztowano i do więzienia odprowadzono. Zamordowany był człowiekiem uczciwym i pozostawił żonę i troje dzieci.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Fr. B. w Górze ropczyckiej. Myślimy, że pan list nasz otrzymał. To, co pan przysłał, drukujemy z podziękowaniem i prosimy o dalszą pamięć o nas.

P. Janowi Rudnikowi w Cerekwi. List nasz pewnie już pan ma. Pismo pańskie wydrukujemy, a prosimy pozdrowić pięknie od *Krakusa,* prócz tych, cośmy ich w liście wymienili, a mianowicie panią nauczycielkę

w Cerekwi, p. Głogowskiego, organistę w Cerekwi, p. Pawła Plądera, Walentego Kotelona i wszystkich wójtów i dobrych ludzi z tamtej parafii. *Krakus* wszystkich tam zna, bo tam bywał. Prosimy także pozdrowić wójtów z Bogucic i Majkowić i powiedzieć im, żeby donieśli *Krakusowi*, jak im tam idzie ze szkołą. Jakby mieli kłopoty jakie, to możeby im *Krakus* mógł dać jaką dobrą radę i pomoc. A co tam słychać w Okulicach i Buczkowie? Szłyszeliśmy, że i tam mają stawiać nowe budynki szkolne. Czy Skarb odsprzedał Okuliczanom budynek i plac na szkołę?

P. F. K. w M. Dziękujemy pięknie za wiadomości ; i prosimy pozdrowić pp. nauczycielów w Stalach, Mokrzyszowie, Jadachach i w Sobowie i wszystkich, których pan zna, żeby nam donieśli, co w tamtych stronach słychać? Czy tam z wójtów i gospodarzy nikt nie umie pisać? Ze wszystkich stron chłopi nam donoszą, co i jak jest u nich, a ztamtąd ani słówka.

P. W. M. w L. Bardzo dziękujemy za życzliwość dla nas. Prosimy pozdrowić p. Nowaka, wójta, w Kamionnie i powiedzieć mu, żeby napisał *Krakusowi*, czy gmina otrzymała pożyczkę bezprocentową na budowę szkoły i czy tam zawsze taka sama bieda w tych górach? Prosimy pozdrowić p. Kupca, nauczyciela w Trzcianie, p. Nakielnego w Łąkcie górnej, p. Mączkę w Łapanowie, bo ich też znamy. Prosimy także pozdrowić pięknie panią nauczycielkę w Rajbrocie i prosić ją, żeby *Kraknsowi* doniosła, czy tam w tym Rajbrocie ciągle taka bieda?

P. Jan Lis w Łopuszce wielkiej. Pismo o jasełkach otrzymaliśmy i bardzo dziękujemy, będzie w *Krakusie* wydrukowane. Prosimy dalej pamiętać o nas i napisać, co tam słychać? Czy kto ze dworu był na jasełkach? Wiemy, że tam macie Kółko rolnicze i sklepik. Czy młody pan interesuje się tem! A czy Kółko i sklepik przenieśliście już do nowego budynku? Pozdrawiamy pana bardzo pięknie i prosimy pozdrowić pana nauczyciela, p. wójta Ziębę, gospodarzy i dobrych ludzi wszystkich, jak Walentego Pydę, Wojciecha Skórę, Michała Bartosika, Marcelego Kukułkę, Józefa Boratynia. Spodziewamy się wnet od pana nowego pisma.

P. W. S. w Zatorze. Serdecznie kłaniamy się panu i dziękujemy za pismo, które zaraz wydrukujemy, a prosimy o dalszą pamięć.

P. A. B. w Brzezince ad Oświęcim. Bardzo dziękujemy panu za pamięć, zaraz wydrukujemy i należytość, jak każdemu, co do nas pisze, prześlemy. Czyby pan nie był łaskaw stale zasilać *Krakusa?*

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 3 lutego.

Płacono: za pszenicę białą od 8 złr. 10 ct. do 8 złr. 40 ct., za czerwoną od 7 złr. 90 ct. do 8 złr. 30 ct., za żółtą od 7 złr. 90 ct. do 8 złr. 25 ct., za żyto od 6 złr. 70 ct. do 7 złr. — ct., za jęczmień browarny od 6 złr. — ct. do 6 złr. 50 ct., na kaszę od 5 złr. 50 ct. do 5 złr. 65 ct., za owies od 5 złr. 70 ct. do 6 złr. — ct., za rzepak od 11 złr. 40 ct. do 12 złr. — ct., za koniczynę czerwoną od 55 złr. do 68 złr., za białą od 65 złr. do 78 złr. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
5	*Nied. 5 Mięsop.* Agaty p. m.	7	10	4	39
6	Pon. Doroty p. m.	7	8	4	41
7	Wt. Romualda opata w.	7	6	4	42
8	Śr. Jana z Mathy i Cyryaka.	7	5	4	44
9	Cz. Apolonii p. m.	7	4	4	45
10	Piąt. Scholastyki p. i Sylwiana.	7	2	4	46
11	Sob. Hipolita i Eufrozyny.	7	—	4	48

L. 4162.

Ogłoszenie.

W szkole uprawy i wyprawy lnu w Gródku rozpocznie się nowy jednoroczny kurs nauki *d. 5 kwietnia 1893.*

Chcący być do szkoły uprawy i wyprawy lnu w Gródku na jednoroczny kurs przyjęty, powinien:

1. Najdalej do dnia 15-go marca 1893 wnieść do Dyrekcyi szkoły w Gródku podanie i wykazać się: że *16 rok życia* ukończył, że odbył z dobrym postępem obowiązkową naukę w szkole ludowej, jest umysłowo i fizycznie zupełnie zdrów i nienagannych obyczajów.

2. W terminie przez Dyrekcyę oznaczonym złożyć egzamin wstępny, z którego kierownik szkoły osądzi, czyli kandydat jest wogóle dostatecznie rozwinięty umysłowo, ażeby mógł korzystać z nauk w tej szkole udzielanych.

Synowie niezamożnych rodziców mogą otrzymać *bezpłatne utrzymanie* w zakładzie kosztem funduszu krajowego.

Każdy wstępujący do szkoły, powinien być zaopatrzony w dostateczną bieliznę i dobre juchtowe obuwie.

Bliższych wiadomości udzieli na żądanie:

Dyrekcya szkoły uprawy i wyprawy lnu w Gródku.

Z Wydziału krajowego
Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem.

Lwów dnia 24 stycznia 1893.
(up.) *Groll.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.